

WOBEC WIDMA

*L*egiony mają okładkę znośną, format poręczny, objętość zachęcającą. Zaopatrzone je też w pokaźną przedmowę, napisaną wedle dobrych patriotycznych wzorów, w której „życie twórczości” Sienkiewicza nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie było wysoko podnoszone. Nie podzielam opinii autora przedmowy, który w utworze tym widział „opowieść płynną, obrazy potężne, humor świetny”, sędzę bowiem, że jest to powiastka statyczna, bezbarwna i deklamatorska, ale o to mniejsza, gdyż po czasie nie warto spierać się o gusta. Zastanawiam się natomiast, dlaczego ten nieukończony i nieudany – zapewne nieukończony dlatego, że nieudany – utwór Henryka Sienkiewicza wydano jako pierwszą, więc inauguracyjną pozycję Instytutu Literackiego w Rzymie? Zastanawiam się zwłaszcza dlatego, że w zakończeniu tej ostrożnie aluzyjnej przedmowy natrafiam na deklarację stanowczą i przejmującą: „Oto, gdy zginiecie wy obaj, gdy zginę ja, gdy zginą nas setki i tysiące, przyjdą po nas inni i polska siła się ostoi i legia nas przeżyje. Po świecie mówią: nie masz już Polski! a Polska tu jest. I może Bóg da, że nie dziś, to jutro, bagnet nasz przewierci przez Austrię drogę do ojczyzny”. Takie to credo ideowe wydobywał autor przedmowy Jan Bielatowicz, a w ten sposób je udobitniał: „TO JEST IDEA LEGIONÓW I TO TAKŻE DZIŚ JEST NASZ PACIERZ NARODOWY”¹. Patrząc na te wersaliki i oczom własnym nie wierzę. Czy to jest program instytutu literackiego, czy też szkoły podchorążych? Miesięcznika kulturalnego

czy werbunku legionowego? I czyj to właściwie ma być pacierz narodowy? „Nasz”?

Wśród dwudziestu ośmiu książek pierwszego, rzymskiego okresu wydawnictwa zarejestrowanego wtedy jako Casa Editrice Lettere, można odnaleźć kombatanckie relacje, sentymentalne wspomnienia, awanturnicze romanse, a nawet eseistyczne rarytasy. Wydawcy, co prawda, korzystali z dotacji początkowych, ale, jak wszyscy od czasów Gutenberga, którego wynalazek rzucił książkę na rynek, musieli mieć na względzie rentowność swego przedsięwzięcia. Nie mieli bowiem za sobą żadnej takiej politycznej centrali, której nakazy rentowność tę mogłyby uchylić. Mogli liczyć tylko na odbiorców najbliższych, a byli nimi demobilizowani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zwłaszcza stacjonującego jeszcze we Włoszech Drugiego Korpusu Polskiego, dowodzonego przez generała Władysława Andersa. Bezpośrednim poprzednikiem Instytutu Literackiego były publikacje Biura Wydawnictw tegoż korpusu, którym kierował Józef Czapski, ich różnorodność była jeszcze większa, a rozmach godny podziwu. W serii tej Gustaw Herling-Grudziński, na przykład, wydał *Filozofię romantyzmu polskiego* Stanisława Brzozowskiego, a w nocie wstępnej o autorze wskazywał na jego „niezrównaną sztukę zdzierania masek myślowej obłudy z prawdziwego oblicza rzeczywistości”, wyrażając się najpełniej w krytyce Sienkiewicza². Nie wiem, jak ta nadająca powszechnodziejowy sens uniesieniom duchowym „garstki oddartej od ziemi ojczystej szlachciców” rozprawka Brzozowskiego była odbierana przez odciętych od kraju żołnierzy, choć mogą sobie to wyobrażać. Wiem natomiast, że kiedy w latach sześćdziesiątych rozpoczął się u nas renesans Brzozowskiego, a nie było jeszcze żadnych jego wznowień, broszurka „tłoczona w Drukarni Polowej 2 Korpusu A.P.” była jednym z łatwiej dostępnych wydań i studiowałem ją w Bibliotece Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jeśli sprowadził ją tam Adam Schaff, który tworzył tę bibliotekę, to książki naprawdę mają swoje losy.

W roku 1946, wyróżniony najwyższymi sojusznicznymi odznaczeniami, a przez władze krajowe „pozbawiony obywatelstwa polskiego”, generał Władysław Anders borykał się z Anglikami, jak przed kilku laty z Rosjanami, o zmniejszane wciąż racje żywnościowe dla swoich żołnierzy. Porucznik Jerzy Giedroyc w linii się nie zastąpił, publicznie był nieznan, cieszył się jednak estymą kilku wybranych i wraz z nimi postanowił wytwarzać strawę czytelniczą. „Było dla mnie jasne – mówił w jednej z wcześniejszych

swoich wypowiedzi – że wbrew rozpowszechnionym wówczas poglądom, czeka nas długotrwała emigracja, co pociągało za sobą konieczność pomyślenia o pracy kulturalno-politycznej w zupełnie nowych i trudnych warunkach”³. Wśród tych żołnierzy, dla których pierwotnie praca ta została pomyślana, poziomy umysłowe i gusta artystyczne były tak zróżnicowane, jak w społeczeństwie, z którego się wywodzili. Nie ma się więc co dziwić, że Henryk Sienkiewicz znajduje się tu obok Jerzego Stempowskiego, Władysław Reymont obok Bolesława Micińskiego, a Sergiusz Piasecki obok Arthura Koestlera. Prawidłowością jest również to, że rzymskie edycje *Jabłuszka* są nieosiągalne, a *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie* można było jeszcze niedawno kupić w Warszawie za tani pieniądz. Podobnie zresztą jak *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej* Józefa Chałasińskiego (wydaną łącznie z repliką Jana Ulatowskiego) oraz *Na miarę człowieka* Léona Bluma z portretem „przywódcy socjalizmu francuskiego”. Rzecz Chałasińskiego przychodziła z kraju i przenosiła na emigrację wszczętą tam dyskusję, w paryskiej już „Kulturze” będzie się jeszcze dywagować o „społecznej funkcji inteligencji”⁴. Rzecz Bluma na emigracji została właściwie przemilczana, nie było tu raczej sprzyjającego socjalizmowi klimatu. W kraju natomiast, gdzie wbrew oficjalnej propagandzie klimatu takiego również nie było, odbiła się niespodziewanym echem. Sędziwy Léon Blum stał się bowiem towarzyszem młodego Jana Strzeleckiego; likwidując „humanizm socjalistyczny”, ucinano wszelkie socjaldemokratyczne parantele. Zainicjowane właśnie „Nowe Drogi” rozprawiły się z francuskim wydaniem *À l'échelle humaine*, słowem, rzecz jasna, nie wspominając o edycji polskiej⁵. Znając ówczesne obyczaje, jestem przekonany, że gdyby edycji tej nie było, nie byłoby i tej rozprawy.

Sienkiewicz rozpościerał przed strudzonymi długim pochodem wiarusami Dąbrowskiego panoramę Rzymu, z górującym nad nią Świętym Piotrem, „mocą bożą”, skąd „wiara płynie”. Jerzy Giedroyc spędził w Rzymie dwa lata, ale nie zachował stamtąd żadnych szczególnych wspomnień. Z tego rodzaju wspomnieniami całkiem u niego krucho, nie ma on bowiem pamięci do miejsc i pomników, ma ją natomiast do spraw i ludzi, jak potwierdza to *Autobiografia na cztery ręce*. Z miast, w których żył i które widział, największe wrażenie zrobił na nim Mosul, dawna Niniwa – pięć tysięcy lat historycznych nawarstwień działa na jego świadomość, dwa, trzy tysiące to jakby za mało. Wspominany już Jan Bielatowicz wydał w tej samej rzymskiej serii „szkice włoskie” zatytułowane *Passaggiata*, czyli spacer, przechadzka. Jest to właściwa legitymacja literata polskiego, nie

tylko świadczy ona o naszym przywiązaniu do Wiecznego Miasta, kolebki chrześcijaństwa, ale i ślady w nim rodaków pieczętowanie tropi. Jerzy Giedroyc nie był literatem i nie potrzebował legitymacji, nie ma jego zdjęć na przechadzce ani w pozycji tropiciela śladów, a nawet ja je posiadam, choć w Rzymie byłem ledwie dwa dni. Te fotografie założyciela Instytutu Literackiego, jakie znam, chwytają migiem człowieka, który sam lub z najbliższymi – co się wyklada: współpracownikami – gdzieś spieszenie podąża. Wygląda na to, że nie miał czasu nie tylko na Caffè Greco, ale nawet na Świętego Piotra.

W książeczce Sienkiewicza można się było doczytać tych morałów, jakie wydobywała przedmowa – że mianowicie najlepsi synowie ojczyzny byli legionistami, że w ich piersiach, jak śpiewali: „Polska żyła i nie umarła”, gdy w kraju tymczasem uznano, że nastąpił „finis Poloniae”, „wierżono, że tak być musi”, „akomodowano się”, „składano homagia” i „bratano z zaborcą”. Były to jednak opinie jednej z postaci, więc odniesione do opinii innych i tym samym osłabione, a epizod, w którym się pojawiały, nie zapadał bynajmniej w pamięć, bo i cały utwór z niej łatwo ulatywał. Czemuż to poza tym edytorzy korzystający z pełnej prawie swobody słowa, z których jeden napisał już *Wspomnienia starobielskie*, a drugi obmyślał poetykę *Innego świata*, mieliby się posługiwać tak cienkimi historycznymi aluzjami?⁶ W kraju grzmieli już donośnie „ideologowie marksizmu-leninizmu”, filozofowie „spizowych praw dialektyki”, teoretycy „wielkiego realizmu”. Przeciwwstawi się im, ale jeszcze nie teraz, wtedy dopiero, kiedy i adresat zostanie zmieniony, alternatywy wagi należytej: *Koniec wieku ideologii, Zniewolony umysł, Eseje dla Kassandry*. Wobec tamtej zmasowanej, frontowej kanonady powiastka Sienkiewicza byłaby puknięciem króciicy. Kraj pozostawał jednak na razie tłem, to tutaj, na ziemi włoskiej owiany chwałą korpus bojowy przekształcano w „korpus przysposobienia i rozmieszczenia”⁷. I nie było widać żadnej „bagnetem przewierconej drogi do ojczyzny”.

Zawsze ma się chęć wiedzieć, jak to właściwie było, ale nigdy nie można się tego dowiedzieć. Historię zaczyna się pisać wtedy, kiedy aktorzy milkną lub odchodzą i nikt nam nie powie już, jakie były nastroje, marzenia, rojenia, o czym mówiono i rozprawiano tamtej rzymskiej wiosny lub tamtego lata. Historyk jest zawsze w jakiejś mierze archeologiem i domniemany kształt naczyń musi dopełniać własną imaginacją. Inicjatorzy Instytutu Literackiego oraz „Kultury” zawsze byli zajęci pracą; bibliografię, owszem, wydawano skrupulatnie, rocznicowych publikacji również nie unikano,

ale wspomnień, wrażeń, zapisków brakuje nawet dzisiaj, kiedy rozlała się rzeka wywiadów i zaczęto publikować archiwa. Jerzy Giedroyc, skąpy w słowach i najchętniej ograniczający się do równoważników, zdaje tylko, jak sam mówi, „suche relacje”, które trzeba samemu dopowiadać. Gustaw Herling-Grudziński jest pisarzem, po którym nie należy się spodziewać epickiej rozlewności, we wspomnieniach wydobywa przede wszystkim wartości: niezależność, ofiarność, solidarność. Wypowiedzi Zofii Hertz są najbardziej obrazowe i powszednie, bo kobiety historii przywracają najczęściej smak życia, a jej listy – dokumentalnie wymowne. Mają one przy tym ten odcień ironii, na jaki korespondentom pozwala bliska, ciepła, choć powściągliwa przyjaźń. Relacjonowana w nich codzienna, nieustępliwa walka o kontakty, fundusze, papier, druk, korektę i ekspedycję ma w sobie podkład rozpaczliwej doprawdy determinacji⁸. Czego trzeba, aby na determinację taką się zdobywać? Wiary w to, że rezultaty zakończonej właśnie wojny nie są ostateczne, że prędzej czy później przyjdzie do zmiany „jałtańskiego porządku”, że rozpadnie się Związek Sowiecki, a stalinowski komunizm okaże przejściowym, historycznym epizodem? To tylko dzisiaj – z perspektywy nieodwracalnych, jak sądzimy, przemian politycznych, a także, co ważniejsze, z perspektywy niebywałych dokonań własnych – historyczne werdykty wydają się klarowne, a wiara w ich nadejście twarda jak opoka. Nie podaję w wątpliwość jednoznacznych dziś deklaracji: wiedzieliśmy, że to nadejdzie, mówią aktorzy, choć niekoniecznie za naszego życia. Trzeba nosić w sobie jakąś profecję, żeby zdobyć się na taką determinację, a wiara nie od razu i nie od zawsze jest niezłomna, bywa natomiast wątła, krucha i płonna, zanim w ogniu wydarzeń przepali się i zeskali. W pierwszych rocznikach „Kultury” nie ma takich, którzy wierzą, że historia sama wykonuje swoją pracę, napomyka się natomiast o „sztuce oddychania pod wodą” i „znikaniu z historii bez śladu”⁹.

Zakładający Instytut Literacki intelektualiści, którzy przygodnie tylko byli żołnierzami, różnili się w ocenie sytuacji, rzecz jasna, od zawodowych wojskowych. Ci ostatni wierzyli, że konflikt zwycięskich mocarstw jest nieunikniony, nowa wojna nieuchronna, a zbrojne polskie ramię znowu okaże się niezbędne. Zawodowi wojskowi mają pewną właściwość, która oddziela ich od cywilów – są oni mianowicie skłonni widzieć przed sobą nie tylko nową wojnę, ale i oglądają ją zwykle w ramach wojny starej. Dlatego to między innymi przedwojenni polscy pułkownicy wierzyli w siłę uderzeniową kawalerii, a francuska generalicja w odporną moc

linii Maginota. Cóż bardziej pociągającego poza tym dla psychiki wykluczonych niż tradycyjne, setek, jeśli nie tysięcy lat sięgające, rycerskie imaginarium – oto zwycięski wódz na białym koniu przekracza bramy odzyskanej zbrojnie stolicy. Ten obraz i tę nadzieję musieli nosić w sobie nie tylko dowódcy armii zwycięskiej, która okazała się armią zbędną, ale i ich żołnierze, którym odmówiono udziału w paradzie triumfalnej, składający swój pacierz narodowy: „ślubujemy trwać nadal w walce o wolność Polski, bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać”. Otóż warunki te gruntownie się zmieniły, co widział przenikliwie pewien, cytowany już, oficer rezerwy. Jerzy Giedroyc inspirował nie tylko, jak to dziś wiadomo, *Dzienniki Gombrowicza*, ale i wcześniej wydaną nakładem Instytutu Literackiego pierwszą polską książkę o bombie atomowej, zaopatrzoną w rysunki i fotografie z Hiroszimy. W paryskim zaś miesięczniku podkreślano, że techniczny rozwój narzędzi walki dawne formy wojny czyni nieaktualnymi, a przyszła wojna będzie wojną laboratoriów, która największe metropolie zmieni w słup dymu¹⁰. W takim filmie nie było nawet kadru dla białego konia, choć pozostawał jeszcze pacierz.

Powiedzmy, że każdy musi wierzyć w to, co trzyma go przy życiu. Politycy, zwłaszcza ci, którym zabrano władzę, a nawet cofnięto dyplomatyczne wsparcie, muszą wierzyć w prawną moc swoich plenipotencji i plenipotencje te uwiecznić. Przypuszczam, że żadnemu z nich w najśmielszych fantazjach nie śniła się ta scena, jaką przed kilku laty odegrano na Zamku Królewskim, a nie da się przecież pominąć roli tak zwanych komunistów w jego odbudowie. Wojskowi, zwłaszcza ci, którym broń wytracono z ręki, muszą wierzyć, że broń tę znów podejmą, nawet gdyby wiadomo było, że nowa wojna jest nie tylko niemożliwa, ale też niepożądana. Pokłady świadomości, a raczej nieświadomości zbiorowej są doprawdy niezgłębione i nikt nie zna ich ukrytych przemieszczeń. Przez długie powojenne lata na prowincjonalnych dancinгах w kraju ściszano głosy i prostowano grzbiety, gdy orkiestra sakramentalnie odgrywała *Czerwone maki na Monte Cassino* i to podpitym „budowniczym socjalizmu” zjawiał się wtedy biały koń. W publikacjach rzymskiego wydawnictwa i paryskiej „Kultury”, z wyjątkiem pierwszego pacierza, nie znajduję cienia tej zjawy, choć inicjatorzy byli podkomendnymi generała i to on podpisał rozkaz powołujący do życia Instytut Literacki.

Ludzie pióra winni wierzyć w siłę słowa, a demobilizowanych lub cywilnych pisarzy było wokół dość: Bielatowicz, Bobkowski,

Czapski, Herling-Grudziński, Łobodowski, Stempowski, Terlecki, Ulatowski, Wierzyński, Weintraub. Wymieniam tylko ważniejszych autorów pierwszych numerów miesięcznika, a pełna ich lista w toku całych dziejów liczy parę tysięcy nazwisk i obejmuje prawie wszystkich, którzy w ostatnim półwieczu zajmowali się tutaj „czernieniem papieru”. Autor niniejszego, nawiasem mówiąc, należy do nielicznych wyjątków i dlatego pisze studium historyczne, a nie hagiograficzne. Jerzy Giedroyc, który ich wszystkich skupiał, nie był pisarzem, choć musiał być człowiekiem słowa: gdyby nim nie był, nie założyłby wydawnictwa literackiego i miesięcznika kulturalnego. Sam o sobie mówi, że jest politykiem, a nawet „zwierzęciem politycznym”, trzeba będzie później rozszyfrować, co to może znaczyć. Tu wspomnę, że aby wiedzieć, iż w pewnych okolicznościach historycznych należy tworzyć wydawnictwo, a nie rząd, zakładać pismo, a nie partię, trzeba być kimś więcej niż polityk i kimś więcej też niż pisarz. Pół wieku temu pisano o Giedroyciu, że powinien być premierem. Okazał się kimś więcej – mianowicie założycielem.

Kiedy polityczna ciągłość państwa staje się fikcją moralną, fikcją taką – i to niezależnie od swoich poczyniń – stają się również gabinety rządowe i reprezentacje partyjne. Fikcja ciągłości przedwojennego państwa, partyjnych reprezentacji i rządowych gabinetów była na emigracji utrzymywana przez kilkadziesiąt lat i jest dziś dana politycznym dziejopisom. Nie przynależąc do tego cechu, chcę tylko zauważyć, że rzeczywisty byt tej fikcji był bytem słownym, bo nie miała ona naprawdę innej realności. W takiej sytuacji historycznej, w jakiej emigracja znalazła się po zakończeniu wojny, jej polityka nieuchronnie stawała się sztuką słowa. Toteż było kwestią społecznej właściwie wyobraźni i artystycznej poniekąd intuicji sztuce tej dać instrumenty adekwatne – tymi okazały się pismo i wydawnictwo, a nie rządy i partie. Przed rzecznikami polityki jako sztuki słowa otwierała się jednak natychmiast przestrzeń historycznych analogii. Polski wiek dziewiętnasty, a zwłaszcza epoka międzypowstaniowa, jest, jeśli można tak powiedzieć, macierzą polityki jako sztuki słowa i nasz romantyzm swoją wielkość w znacznej mierze tożsamości tej zawdzięcza. Przestrzeń historycznych analogii jest jednak przestrzenią zdradliwą i niepostrzeżenie staje się otchłanią, w której śmieszność splata się z potępieniem. Cóż bardziej pociągającego i łatwiejszego zarazem jak poza Wielkiej Emigracji przybrana w gesty Wielkich Romantyków? Jeszcze parę przedruków, jeszcze parę przedmów, jeszcze parę podkreśleń i już mamy „nasz pacierz

narodowy”: „ale gorszy z Was lepszy jest niż dobry cudzoziemiec, bo każdy z Was ma ducha poświęcenia się”.

Inicjatorzy Instytutu Literackiego zrozumieli jednak, że historia nie powtarza się właśnie wtedy, kiedy wydaje się powtarzać. Kolejny przedruk, powyżej zacytowany, jeszcze się pojawił, lecz nie tylko utwór był inny, ale też w inną zaopatrzonego przedmowę, o sensie przeciwnym. Przedmowę tę napisał Gustaw Herling-Grudziński i jest ona, znowuż jednoznacznie, uznawana za wypowiedź programową. Coś się musiało stać w toku tych kilku miesięcy 1946 roku i to jest właśnie to, czego nie można się dowiedzieć, a co dopełniać trzeba własną imaginacją. Jakieś rozmowy i rozprawiania musiały się toczyć, jakieś uświadomienia i rozstrzygnięcia zostały dokonane i nawet nie wiem, o jakiej porze roku, bo publikacje ówczesne nie mają dat miesięcznych, więc nastrojowo przyjmuję, że była to wiosna, rzymska wiosna. Wszyscy pewnie samorzutnie zapominamy to, co było przed decyzją – wahania, namysły, roztrząsania. Być może taka jest chytrość pamięci, że przechowuje ona uzasadnienie wyboru, a wypiera wszystkie zwątpienia. To, co działo się potem, zwłaszcza dlatego, że w przypadku „Kultury” ma monumentalne rozmiary, jest tematem wielu relacji i będzie przedmiotem niezliczonych badań. Mnie jednak pociągają również te chwile sprzed wyboru, kiedy inne drogi są jeszcze otwarte i wybór każdej możliwy. Dlaczego właściwie powołano do życia Instytut Literacki, a nie Historyczny? Czy dlatego, że przyszłość bardziej niż przeszłość miano tu na uwadze? Co zdecydowało o tym, że za program tego Instytutu uznano tekst Herlinga-Grudzińskiego, a nie inauguracyjny przecież tekst Bielatowicza? Czy nie to, że zrozumiano, iż nie w historycznym powtórzeniu, lecz w historycznym odkrywaniu jest kwestia? Dlaczego powołane później czasopismo opatrzone dalszym, poniekąd, tytułem – „Kultura”, a nie bliższym przecież – „Polityka”? Czy nie dlatego, że wiedziano, iż trzeba mieć teraz pomysł na politykę inną, taką, która właśnie będzie kulturą? Nie są to pytania rzeczowe i nie ma na nie faktycznych odpowiedzi. Są to pytania ideowe, a odpowiedzi na nie są interpretacyjne, więc, w pewnej mierze, imaginacyjne.

Co właściwie pisał Gustaw Herling-Grudziński w przedmowie do profetycznych przecież *Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*?¹¹ Najkrócej mówiąc – najpierw przyjmował historyczną analogię, a potem ją oddalał. Aktualność tego „katechizmu pielgrzymstwa polskiego” na „nowej emigracji” mogła zaiste wydawać się „przerażająca”, jak odnotowywały pierwsze zdania. Zdrada

mocarstw, matactwa polityków, losy żołnierzy były powtarzalne, nawet „męczeństwo zamordowanych w Katyniu” można było wpisać w miejsce „męczeństwa zaknutowanych w Kronsztadzie”. Jeśli jednak istnieje taka polska przedświadomość, która utrwała się w powtórzeniach, to czas historyczny naprawdę nie jest pusty i powtórzeniami się nie wypełnia. Jest on realnością doświadczeń i działań kolejnych pokoleń, a są to pokolenia duchowo i społecznie zmienione, dla których Mickiewiczowskie posłanie jest pouczające, a nie obligujące. Nie chodzi o to, aby powtarzać patos tamtej emigracji, chodzi o to, aby przeobrazić go w sposób działania współczesnego, „w którego kręgu odnajdą swą godność polityczną i niezłaganą wierność ideałom społecznym wszyscy europejscy wygnańcy sfer wpływów”. Oba motywy tego rozumowania podkreślam – politycznie zdradzona emigracja jest jednak społecznie zmieniona i świat, w jakim się znalazła, jest również społecznie zmieniony. Dlatego „godność polityczna” spleciona jest z „ideałem społecznym”, a spłot ten odniesiony jest nie tylko do własnego narodu, ale i do całej „rodzinnej Europy”¹². Co najmniej – do „rodzinnej Europy” jako pierwszej materii własnego obowiązku.

Aby jednak to osiągnąć, trzeba pozbyć się objawów „polskiej reakcji pokłękowej”, porzucić „egzaltowaną religię patriotyczną”, oswobodzić z „romantycznego jarzma”. Reakcji pokłękowej właściwy jest „czar wawelski”, czyli konsolacyjne zapatrzenie w dawną świetność, oraz kwietyzm cierpienia, niezbyt zręcznie nazwany tutaj „rewolucyjnością alkowianą”. Z megalomanii narodowej wyrasta mit mesjański, naród w nim staje się wielką osobą, a osoba małym narodem. Trzeba odrzucić to „mistyczne równanie narodu i jednostki” – pisze autor – wyzbyć się wiary w zbawienność dziejowego przeznaczenia. Historyczna tragedia nie jest oznaką predestynacji, cierpienie nie jest poręką rezurekcji, narody nie są ciałami mistycznymi, a osoby nie są z nimi tożsame. Takie zrosty mentalne są nie tylko błędne, ale i niebezpieczne: „jeśli patologia siły i teoria «narodu wybranego» zrodziły faszyzm, to patologia cierpienia i teoria «narodu wybranego» wydały na świat znacznie wcześniej mesjanizm. W piśmiennictwie polskim ostatniego półwiecza na takie zestawienie pozwalał sobie tylko Tadeusz Kroński, ale ze znacznie gorszym skutkiem. Mickiewicz ma tu bowiem zostać „przewycięzony i odnowiony”, a romantyzm oddać się, aby oczyszczony przejąć. To, co przejąć należy, nie jest wyznaniem ofiarniczego cierpienia, lecz wizją dziejowego zadania. Korelatem tego zadania nie jest mistyczna jakość narodu, lecz „idea państwa polskiego”. Idea ta

z kolei musi zostać spleciona z nowoczesnymi wartościami – solidarnością ludów, uspołecznieniem narodu, emancypacją jednostek. Dlatego „psychika polska” musi zostać przebudowana, a rozwiązanie „polskiego dylematu czynu i słowa” odwrócone. Sławna maksyma Norwida o czynach zawsze u nas przedwcześnie i książkach zawsze spóźnionych, wielokrotnie potem w „Kulturze” powtarzana i parafrazowana, pojawia się tutaj po raz pierwszy. Zadanie przekształcania „struktury duszy kulturalnej” musi zostać skojarzone z *Legendą Młodej Polski* i zostaje z nią skojarzone. Mickiewicza z „Trybuny Ludów” w końcu przeciwstawia się Mickiewiczowi ze Sprawy Bożej.

Powtarza się tu, co prawda, wołanie „o wojnę powszechną za wolność ludów”, ale pozostaje ono historiozoficzną metaforą. Logicznie poprzedza tę wojnę „rewolucja społeczna – ostatnia forma całkowitego upowszechnienia uczuć narodowych oraz zjednoczenie Europy” na podstawie „humanistycznej demokracji ludów”, a nie „antyhumanistycznego totalizmu”. Jest to więc bardzo dobry zestaw założeń dla „długotrwałej pracy kulturalno-politycznej”, jasno też i celnie wysłowiony. Nie wątpię, że napisał go ten, kto podpisał, ale dobrze byłoby wiedzieć, jakie dyskursy tekst poprzedziły. Echa takich roztrząsań można się tu dosłuchać, skoro „idea państwa polskiego” jest oczyszczoną i odnowioną „polską ideą imperialną”. Państwo jako podmiot dziejów, ojczyzna wszystkich prawnych obywateli, a nie naród spojony więzią irracjonalną – oto przesłanka myśli politycznej wypracowywanej jeszcze w „Buncie Młodych”¹³. Tylko na tej podstawie, zauważmy, służyć można „rodzinnej Europie” – bo staje się ona, w ten sposób, wspólną sprawą, wewnątrz państwa i poza jego granicami. Mistyczna zjawia narodu likwiduje nieuchronnie wspólność sprawy i wywołuje plemienną regresję, która nie kończy się nawet na cmentarzu. Dociekam sensów tej przedmowy i domyślam się jej genezy nie tylko dlatego, że jest ona zacynem programowym całej działalności Instytutu Literackiego, choć i to całkiem wystarczy. Jest to także jeden z ważniejszych tekstów programowych, jakie u nas napisano, i w antologii stu lat myśli polskiej odzyskałaby swój blask. Od Norwida i Brzozowskiego myślano też, jak romantyczną wizję misji dziejowej przekształcić w społeczną ideę zadania historycznego. Misja jest dana, zadanie właśnie za-dane; misja jest spirytualna, zadanie realne; misja ma być wypełniona, zadanie rozwiązane – oto zwięźle wskazane różnice, będące różnicami postaw wobec świata. Przekształcenie to nie tylko zostało tutaj zapowiedziane, ale i w dziele „Kultury” urzeczywistnione. A to prawie nigdy przedtem nam się nie udawało.